

DUSZY? Chyba DUCHA: ejże, DUSZA z wielu warstw złożona – egipcyscy kapłani coś o tym wiedzieli – więc: nie DUSZY a DUCHA... Mickiewicz... BEZ SERC DUCHA – wpisywała w swą pamięć własny komentarz do tego obrazu PANI EGUCKA. – Ta zastygłość postaci – ciągnęła dalej swą myśl – w bezruchu i inne TAKIE... tylko OKREŚLENIA – analiza – brak ISTOTY, gdy to jedynie syntetyczne spojrzenie na ten obraz tę ISTOTĘ nam oto ukazuje i coś innego PODPOWIADA, bo w artystki życie się wkradłszy poprzez jej TRZECIE OKO – DOPOWIADA? WYPOWIADA tym ukazywaniem ISTOTY CHRYZANTHEM jej życia KRES.

Bo malując, u progu swej świetnie się rozwijającej artystycznej kariery CHRYZANTHEM, Boznańska namalowała SWOJĄ ŚMIERĆ, która do niej, pod postacią siedmiu MYSZY przyszła – grasując po jej śmiertelnym łożu, jej DUSZY zapragnęła? że aż z nimi walkę samotną OSTATECZNĄ malarka stoczyć musiała – pojedynek – mocowanie się o ŻYCIE WIECZNE... tych MYSZY zaduszenie... tak resztkami sił... ZWYCIĘŻANIE! Bo po jej śmierci na tym jej łożu znaleziono siedem zaduszonych MYSZY. Dlaczego? – wykrztusiła PANI EGUCKA, naraz powiewem silnym wiatru przyduszona... nie, nie ZADUSZONA.

Bo CHRYZANTHEM – no proszę się tak nad nią nie rozczulać – roztkliwiać panie i panowie muzealnicy – to MYSZ: ta szarość, te punkciki żwawych mysich oczu, to szare tło mysiej nory, z której ta MYSZ wypełzała – niby to z lękiem i niepewnością w tych swoich ślepkach, ale po to, by dokonać zniszczeń w naszych DOBRACH – ŻYCIU – DUSZY: tego wszystkiego OSTATECZNIE nas pozabawić... METAFIZYCZNA LEWA STRONA... jak to APOLLINAIRE – Kostrowicki – też polska krew pisał: DNI, czasu MYSZY ŻWAWIE, powoli żywot mój niszczyć... tak, to było TO; zaglądając w oczy własnej śmierci – malując mysie oczy CHRYZANTHEM, Boznańska tę śmierć zlekceważyła, zadusiła ŻWAWIE MYSZY, które chciały zniszczyć?

Nie zniszczyły jej żywota wiecznego – żywota nędzarki z wyboru, bo przecież wielką filantropką była, gdy tak młodym artystom możliwość kontynuowania nauki zapewniała, a choć tam w tym okupowanym Paryżu – w tragicznym roku jej śmierci rodacy z pomocą materialną śpieszyli, od nikogo grosza nie przyjęła – ubolewała w duchu PANI EGUCKA...

– Ależ się ODCHEMIŁAM – stwierdziła PANI EGUCKA zadowolona, gdy naraz – wiedzona nakazem swego TRZECIEGO OKA się obejrzała: z tej SZAROMGLISTEJ miękkości w którą zairzała, się wyłaniała... CHRYZANTHEM!!!

No, nie tylko się wyłaniała – szła za PANIĄ EGUCKĄ krok w krok – dziecko podążyło za PANIĄ EGUCKĄ aż do jej chemicznej szkoły: mina pańska, rajstopy przyszarza-

ły, zwisające jak obwarzanki na patyku – nóżki były patykowate – kapelusik jak z portretu Boznańskiej, płaszcz... takiego płaszczka nie nosiło już żadne współczesne dziecko. PANI EGUCKA po schodach – dziewczynka po schodach: PANI EGUCKA do pokoju przygotowawczego w laboratorium – dziecko też zatrzymało się na proggu i spoglądając na PANIĄ EGUCKĄ rzuciło niedbale:

– Zapomniałam śniadać. Myślę, że zrobię pani przyjemność, jak zjem ten chlebek razem z panią – wskazała na siateczkę. PANI EGUCKA natychmiast doceniła klasę tej wypowiedzi i odparła: – Nic bardziej przykrego niż jadać śniadanie w pojedynkę – śniadac gawędząc, ależ! każdy BLIŹNIAK to uwielbia.

– Ma pani szczęście – też jestem spod znaku BLIŹNIAK – też lubię śniadać gawędząc. Zostanę poetką, może prozaiczną... pisuję już co nieco, choć moja babcia mawia, że powierzchowność mojej bliźniaczej natury mnie zgubi – rzekła wyniosłym głosem osoby przebywającej WYŁĄCZNIE w kręgach intelektualnych. – Bo moja babcia jest spod znaku KOZIOROŻCA, zrobiła karierę naukową – jest kustoszem muzeum i wie o malarzach nieomal wszystko – zwłaszcza o Oldze Boznańskiej.

Czy pani – jako chemik – coś o niej wie? – zapytała surowym głosem profesora rektora, u którego swego czasu PANI EGUCKIEJ przyszło zdawać egzamin z chemii organicznej. – Nie tyle zapewne, ile wie twoja babka – PANI EGUCKA postanowiła śpiesznie nadrobić zaległości z wiedzy o historii sztuki, nie bez racji przypuszczając, że gawędy przy śniadaniu będą się ponawiały.

PANI EGUCKA się jednak pomyliła: dziewczynka pałaszując kolejną kromkę chleba, wyznała za ulgą:

– Wie pani, to nawet dobrze, że nie żyje pani wyłącznie tą Olgą Boznańską, że lubi pani śniadać: u nas się mało jada, nooo... bo ONI mają DOM. Żyją DOMEM! DOM proszę pani ZJADA WSZYSTKO! Babcia – stale pisze... zamyka się w saloniku... musi zarobić na DOM. Dziadek jest WIELKIM MATEMATYKIEM... stale liczy w swoim gabinecie – zarabia na DOM. Moja mama jest dziennikarką... stale jej nie ma w domu, biega... na DOM zarobić MUSI. Tatusia DOM pokonał – wpadł w MELANCHOLIĘ... zniknął! Dzieci w szkole się ze mnie śmieją, że jest w Wariatkowie; żebym chociaż wiedziała, gdzie jest ta MELANCHOLIA, to może bym go znalazła. Może pani wie? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Myślę, że wiem – no, się domyślam – wolno mówiła PANI EGUCKA – jest na pewno w POEZJI! a POEZJA to nie Wariatkowie! Zaręczam.

– W takim razie zostanę poetką, wtedy trafię do tej pięknej MELANCHOLII. DOM też jest piękny, jak na obrazach impresjonistów – według babci wyróżnia się KLIMATEM. Ma stare zgniłozielone okiennice w

oknach. Czy nie uważa pani, że krajobraz polski bardzo cierpi na tym, że DOMY, tak jak na przykład we Francji, nie mają okiennic, że mają tylko takie żaluzje – całuny – w których nie ma nawet wyciętego serduszka na promyk nadziei, który każdego ranka winien wtargnąć do naszego DOMU? Nasz DOM ma okiennice, no... ale one muszą być stale RESTAUROWANE... okna muszą ŻYĆ! Muszą błyszczeć w nich szyby, bo to nie są zwykłe szyby... są jak w starych pałacach – kryształowe, ręcznie lane... z takimi drobinami powietrza zatrzymanymi na zawsze w czasie ich produkcji – wykladała uczynym głosem.

– OKLUZJA – rzuciła PAN EGUCKA zafascynowana opisem tego DOMU – mam takie szyby w mojej serwantce z epoki. Długo szukałam brakującej.

– Właśnie. Restaurowanie takiego DOMU to szalenie kosztowna sprawa, jak pani widzi: DOM ZJADA WSZYSTKO! Podejrzewam, że jutro też zapomnę o śniadaniu... wie pani, takie artystyczne roztargnienie poetki – dodała, kręcąc się niepewnie na krześle, na podłożonych z dwóch stron pod chude udka dłoniach.

– W takim razie bardzo zapraszam – usmiechnęła się pod nosem PANI EGUCKA – moja serwantka już odrestaurowana, niczego nie zjada.

– Ten stolik i dwa foteliki, którymi tu pani dysponuje, bardzo wygodne – skwitowała, jakby zaproszenie było oczywistością. – Zrozumiałe, że nie są to meble Z EPOKI, ale jak MODERN jest pić herbatę parzoną w chemicznych zlewkach! Przyjmuję zaproszenie – dodała łaskawie.

– To proszę jeszcze zabrać tę kromkę na drugie śniadanie – PANI EGUCKA szybko posmarowała chleb serkiem ALMETTE i zapakowała w arkusz bibuły filtracyjnej. Dziewczynka wstała, dygnęła i radośnie podskakując, zupełnie nie tak ja się należało spodziewać po tak poważniej rozmówczyni, ale jak DZIECKO, którym przecież była – szybko zbiegła ze schodów, podciągając w tym biegu zwisające jak obwarzanki rajstopy, które naraz jakby pojaśniały na owych patyczkowatych nóżkach.

– DNI, CZASU MYSZY ŻWAWIE – pomyślała PANI EGUCKA – choć z tej mojej porannej jesiennej MGŁY się wyłaniacie, ŻYWOTA MEGO NIE ZNISZCZYCIE...

... BO CHRYZANTHEM...

**Elżbieta  
Stankiewicz-Daleszyńska**

